Dialog polskiego kina ze światem

Rozmowa z Mariolą Wiktor – krytykiem filmowym na temat Festiwalu Filmowego w Cannes 2018 r.



Mariola Wiktor w Cannes, maj 2018 r.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Podczas tegorocznego Festiwalu Filmowego w Cannes „Zimna wojna” Pawła Pawlikowskiego otrzymała Złotą Palmę za reżyserię. Czym wyróżnił się film, że dostał tak prestiżową nagrodę?

Mariola Wiktor

– Ze wszystkich pokazywanych w Cannes filmów „Zimna wojna” była niezwykle

jednorodna artystycznie, wszystkie elementy filmu są tutaj dopracowane i spójne. Jest to piękna historia ludzi, którzy naprawdę się kochają i chcą, choć jednocześnie nie mogą – ze sobą być. Na to nakłada się historia, zimno-wojenne stosunki polityczne, marzenia o życiu i pracy na Zachodzie. Widzimy komunizm, który niszczy jednostki. I zaczynamy rozumieć, dlaczego ludzie uciekają w uczucia. Historia Zuli (Joanna Kulig), solistki w zespole „Mazurek" (domyślamy się, że to odpowiednik „Mazowsza") i kompozytora Wiktora (Tomasz Kot), jest więc głęboko osadzona w realiach tamtego czasu.

Film jest nie tylko melodramatem, ale też hołdem oddanym polskości. Paweł Pawlikowski powiedział, że dla niego polskość to są smaki, zapachy, wspomnienia, to są ludzie, a nie system czy mechanizmy historii. Ta szeroka definicja patriotyzmu jest czytelna w kontekście filmu. Reżyser „Zimną wojnę" dedykował swoim rodzicom, bohaterowie otrzymali też ich imiona. Paweł Pawlikowski wyjechał z Polski, gdy miał 14 lat. Jego rodzice rozstawali się, zakładali za granicą nowe rodziny, potem wracali do siebie. Jest to więc częściowo autobiograficzny film, bardzo osobisty.

Ważną rolę w filmie pełni muzyka. Bohaterowie jeżdżą po wsiach w poszukiwaniu melodii ludowych. Kiedy Wiktor wyjeżdża do Paryża, gra w klubach jazzowych, pojawia się więc wspaniały jazz, który był wówczas w Polsce muzyką imperialistyczną, a więc i zakazaną. Połączenie ludowości i jazzowych standardów sprawia, że film stał się też porywającym filmem muzycznym. Muzyka jest znakomicie zgrana ze zdjęciami i swego rodzaju nostalgią za minionym czasem.

Czego zachodni widzowie po obejrzeniu „Zimnej wojny" dowiedzieli się o Polsce?

– Po projekcji filmu mówiło się, że film pozwala zrozumieć, na czym polegał komunizm w Polsce i jak ten system wyjaławiał ludzi. Do tej pory, jeśli w polskiej kinematografii pojawiał się film na temat rozliczeń z komunizmem, to przeważnie pokazywano postacie heroiczne, wielkich bohaterów. W tym filmie Zula i Wiktor są zwyczajnymi ludźmi, mają swoje marzenia, chcą lepiej żyć, popełniają błędy. Zula pochodzi z małej miejscowości, jest pełna kompleksów, trudno jej uwierzyć, że ma talent. Nie umie też przyjąć miłości Wiktora, bo nie ufa, że taki wykształcony człowiek mógłby się w niej zakochać. Boi się z nim wyjechać na Zachód, bo przecież

nie zna języka, mogłaby sobie nie poradzić. A w „Mazurku" znalazła swoje miejsce, jest solistką, jest uwielbiana. Nie rozumie, że w życiu nie to jest najważniejsze. Wiktor jest na tyle dojrzały, że chce, aby to ona sama podjęła decyzję. Wciąż więc się mijają, szukają szczęścia z innymi partnerami, ale cały czas myślą o sobie i do siebie wracają. Jest to więc historia dwójki normalnych ludzi, z ich wątpliwościami i trudnymi wyborami, pozbawionych odium bohaterstwa, wplątanych w mechanizmy historii. Taka historia jest czytelna i łatwo się z nią niepolskiemu odbiorcy utożsamić

W tym roku byłaś 19-ty raz na Festiwalu Filmowym w Cannes. Jak odebrałaś sukces polskiego filmu?

– Nigdy wcześniej nie doświadczyłam tego, że wchodząc do Grand Théâtre Lumière, w konkursie głównym, słyszałam język polski. To było wzruszające przeżycie. Bardzo miłe były także gratulacje od naszych kolegów, dziennikarzy z całego świata. Publiczność w Cannes jest bardzo wyrafinowana i nie skora to entuzjazmu oraz łatwych emocji. Chętniej „wybuczą" niż zaklaszczą. A przy „Zimnej wojnie" przez 15 minut trwała owacja na stojąco

Cudownie było widzieć jak Joasię Kulig obejmuje Julianne Moore, jak Benicio Del Toro bije brawo. W Cannes sukces odniósł Ryszard Bugajski i jego „Przesłuchanie". To było 28 lat temu. Wcześniej na początku lat 80. doceniono Andrzeja Wajdę i jego „Człowieka z żelaza". Ale dopiero sukces „Zimnej wojny" przełamał poczucie, że Cannes jest dla Polski niedostępne.



Mariola Wiktor z Joanną Kulig („Zimna wojna”), Cannes, maj 2018 r.



Mariola Wiktor, Cannes, maj 2018 r.

Na tegorocznym festiwalu w Cannes pokazywanych było siedem polskich produkcji. Zauważona została „Fuga” Agnieszki Smoczyńskiej.

– W sekcji Tydzień Krytyki Filmowej, gdzie zaprasza się największe sławy, zaproszono w tym roku Agnieszkę Smoczyńską. Scenariusz napisała aktorka Gabriela Muskała i ona też zagrała główną rolę. Agnieszka Smoczyńska znana jest z filmu „Córki dancingu”, który odniósł wielki sukces za granicą. Jednakże „Fuga” jest

filmem zrobionym w innej konwencji niż surrealistyczne „Córki dancingu". Jest to jak najbardziej realistyczny film z sekwencjami z pogranicza snu. To historia kobiety, która traci pamięć w wypadku i na dwa lata znika z życia rodzinnego. Po tym czasie powraca. Nie poznaje męża, matki ani dziecka, a oni muszą się nauczyć z nią na nowo żyć. Wieloletnie związki często dopada rutyna. W tej rodzinie każdy musi ponownie nauczyć się swojej roli i zaakceptować swoją inność. To jest inny, bardziej nowoczesny sposób sportretowania rodziny. Paradoksalnie trauma może być ożywcza i ozdrowieńcza.

Ciekawie pokazane są niektóre sekwencje. Bohaterka znajduje się w lesie, w całkowitych ciemnościach, widzimy tylko jej jasny płaszcz i fragment torów kolejowych. Z wielkim wysiłkiem próbuje się wydostać z jakiejś czeluści – alegoria wysiłku w odzyskaniu pamięci i wyjścia z czarnej dziury. Świetne role Gabrieli Muskały i Łukasza Simlata, który gra jej męża. W czasie, kiedy miała odbyć się projekcja „Fugi" pokazywany był film Larsa von Triera. I ludzie wychodzili z filmu von Triera, żeby zdążyć na Agnieszkę Smoczyńską. Ja też.

Kolejnym filmem z polskim udziałem w na tegorocznym festiwalu była animacja na podstawie książki Ryszarda Kapuścińskigo „Jeszcze jeden dzień życia".

– To świetny film zrealizowany w koprodukcji polsko-hiszpańsko-belgijsko-niemiecko-węgierskiej przez Damiana Nenowa i Raúla de la Fuente. Jest to historia Ryszarda Kapuścińskiego, który jedzie do Angoli w 1975 roku, tuż przed odzyskaniem przez Angolę niepodległości. Trzeba było być niezwykle odważnym i szalonym, żeby w tak gorącym czasie jechać na południe Afryki, w zasadzie na pewną śmierć. Ważne było przesłanie, że w tak ekstremalnych warunkach, to co reporter zarejestruje ma wartość ocalającą. Reporter ma więc misję do spełnienia. Jego obecność nie tylko odtwarza rzeczywistość, ale też ją kreuje. Dlatego jedzie się do takich niebezpiecznych miejsc, bo dla tamtych ludzi jest bardzo ważne poczucie, że na ich śmierci nie skończy się pamięć o nich.

Ciekawa jest hybrydowa forma filmu, połączenie animacji z dokumentem. Animacja poprzez swoją symboliczność i alegoryczność, jest w stanie udźwignąć okropieństwa wojny. W dokumencie, w naturalistycznym zapisie byłoby to nie do zniesienia.

Jakie jeszcze polskie akcenty pojawiły się w tym roku w Cannes?

– W związku z tym, że Jerzy Skolimowski kończy w tym roku 80 lat, a od realizacji „Startu", pierwszego zagranicznego filmu reżysera minęło 50 lat, przypomniano go podczas pokazu na canneńskiej plaży. Film odniósł wówczas duży sukces, zdobył Złotego Niedźwiedzia na Festiwalu w Berlinie oraz nagrodę Międzynarodowej Unii Krytyki Filmowej na Berlinale. Główną rolę Marca, praktykanta w eleganckim salonie fryzjerskim, który pragnie wziąć udział w rajdzie samochodowym, zagrał świetny aktor Jean-Pierre Léaud, aktor Godarda i Truffauta. Po sukcesie filmu Jerzy Skolimowski mógł zostać na Zachodzie, ale wrócił do kraju. Wspominał, że za pieniądze zarobione na filmie kupił sobie Forda Mustanga. Sprzedał go potem Czesławowi Niemenowi.

Poza tym w *Cinefondation* mieliśmy animację. Studentki łódzkiej Filmówki Marty Magnuskiej pt: "Inny", zaś w *Short Film Corner* animację Marty Pajek „III". Z kolei w sekcji *Un Certain Regard*/*Inne Spojrzenie* z entuzjastycznym przyjęciem spotkała się koprodukcja południowoafrykańsko-francusko-grecko-polska „Żniwiarze" w reż. Etienne Kallosa z przepięknymi zdjęciami Michała Englerta i z udziałem polskiego koproducenta Mariusza Włodarskiego.



Mariola Wiktor z Gabrielą Muskałą („Fuga”), Cannes, maj 2018 r.



Mariola Wiktor z Tomaszem Kotem („Zimna wojna”), Cannes, maj 2018 r.

Jakie cechy współczesnego polskiego kina są na tyle uniwersalne, że mogą być zauważone i cenione na świecie?

– W ostatnich latach na polskim rynku filmowym pojawiło się wielu młodych, kreatywnych reżyserów i producentów. Są to ludzie dobrze wykształceni, znający języki, bez kompleksów, potrafiący nawiązywać kontakty. Jeżdżą na festiwale filmowe, warsztaty, *pitchingi*. Widzą, czym żyje świat i jakie kino się przebija. To jest

świetne sprzężenie – kreatywni producenci i młodzi reżyserzy, którzy nie boją się szukać pieniędzy wchodząc w koprodukcje. Oni pokazują świat z własnej perspektywy – moje podwórko, moja rodzina, moja babcia, pokazują problemy osobiste, wręcz intymne, ale też i autentyczne. I to przemawia do zachodniego widza. To już nie jest wielka historia czy wielka polityka, ale zwyczajne życie, wybory, dylematy, problemy dojrzewania, brak perspektyw, samotność, wyobcowanie i to są problemy wspólne na całym świecie. Te filmy są przy tym robione bardzo nowoczesnym językiem filmowym. Są uniwersalne.

Wydaje mi się, że także te pierwsze filmy Jerzego Skolimowskiego z lat 60. („Start", „Rysopis", „Walkower") zdobyły taką popularność na Zachodzie, bo reżyser próbował uciec od wielkich tematów, od uwikłań historycznych. Jego filmy opowiadały o zwyczajnych ludziach, którzy o coś walczą, którym na czymś zależy, ale z perspektywy jednostki, konkretnego człowieka.

Tak więc jeśli film traktuje o egzystencjalnych problemach zwykłych ludzi, nie jest hermetyczny dla Zachodu. To kino, które nie chce niczego uczyć, zbawiać świata, wolne od ideologicznych przesłań, stawiające pytania, nie odpowiedzi. Oczywiście nie można powiedzieć, że historia nie jest ważna bo ona nas ukształtowała, ale młode pokolenie ma szansę spojrzeć na nią z dystansem. Ci młodzi twórcy, urodzeni w latach 90., żyli w zupełnie innej Polsce niż urodzeni w PRL-u. To jest pierwsze pokolenie nie obciążone traumami przeszłości. Dlatego łatwiej im znaleźć wspólny język ze światem.